

KULTURA JAKO PRZEDMIOT BADAŃ

Studia filozoficzno-kulturoznawcze

*Prace ofiarowane Profesorowi JERZEMU KMICIE
w siedemdziesiątą rocznicę urodzin*

Pod redakcją

BARBARY KOTOWEJ
JACKA SÓJKI
KRYSTYNY ZAMIARY



POZNAŃ 2001

O myśli Jerzego Kmity - po amatorsku psychoanalitycznie

Uwertura

Teza główna niniejszego tekstu jest następująca: Kmita to myśliciel wielki, ale płochliwy.

Styl wywodu przyjmuję analityczny - pojęcia będę objaśniał, a tezy uzasadniał. Zaczniemy od wytłumaczenia tytułu i wytyczenia zakresu przedmiotowego rozważań.

Myśl Jerzego Kmity (dalej niekiedy JK): Nie będę próbował dobierać się do całego Kmity jako istoty (nie dodaję: ludzkiej, bo jeśli uda mi się wykazać trafność tezy o wielkomyślicielstwie, to trzeba będzie może przydać Kmicie odcień boskości); niemal zupełnie pominię, co dałoby się wyinterpretować z Jego biografii, tej prywatnej i tej badawczej. Ograniczę się do tego, co można wyczytać z tekstów akademickich JK.

Psychoanalityczność: doświadczeń praktycznych ani nawet wiedzy bardziej systematycznej, lekturowo nabytej o psychoanalizie (zwłaszcza współczesnej) nie mam. Przeto będzie to ujęcie amatorskie, oparte na takim oto wyobrażeniu mechanizmu gry podświadomości z nami: nasze głębsze lęki i nadzieje ujawniamy - światu i sobie - zazwyczaj nie wprost, ale przy okazji, na marginesie działań nakierowanych na inne cele. Ukazywana światu fasada nie pokazuje „całej prawdy” o człowieku. „Prawda” o nas samych wymyka się nam niechcący, jeno przezierając przy okazji.

Metoda gromadzenia danych przypomina tu procedurę tzw. białego wywiadu. Na podstawie w zasadzie ogólnie dostępnych, acz rozproszonych danych, analityk, kierując się pewnymi schematami interpretacyjno-porządkującymi, układa mozaikę. Czyni to w nadziei, iż poszczególne

jednostki informacji, owe kamyki tworzące mozaikę, odpowiednio uporządkowane ukażą łącznie pewien interesujący wzór.

Ewidencja źródłowa w y w o d u: będzie nią przede wszystkim najnowsza (pisze w lutym 2001) książka Jerzego Kmity *Wymykanie się uniwersaliom*¹.

Zastanawiam się, którą część tezy głównej łatwiej przyjdzie uzasadnić, tj. uzyskać sukces poznawczy w polu argumentacyjnym. Tę o klasie myślenia JK, czy tę o płochliwości jego Osoby? Jednym czytelnikom trudniej będzie przełknąć tezę o wielkości („czemu nie ja?!”), innym o płochliwości („stary w końcu chłop, profesor zwyczajny, członek rzeczywisty Polskiej Akademii Naukowców etc, gdzie tu miejsce na płochliwość badawczą”).

Sukces uzasadnienia, które w takim przypadku jak niniejszy nigdy niemal nie ma mocy dowodu, zależy bowiem w równej bodaj mierze od samej argumentacji, co od zawartości umysłu istoty przekonywanej. Argumentacja nigdy nie będzie szczelna względem możliwych prób jej racjonalnego podważenia, może jednak - trafiwszy w czułe miejsce umysłu lub/i emocji przekonywanego - przekroczyć fortyfikacje jego krytycyzmu i zostać przyjęta, czyli doprowadzić do zagnieżdżenia się głoszonej tezy w mateczniku odbiorcy.

Oda do wielkości

Wielkości domniemanie pierwsze - tu muszę autobiograficznie. Było tak: Grześ Dominiak, z którym jako student historii U M K w Toruniu mieszkałem w jednym pokoju w akademiku w latach 1973-75, znosił dziwne książki. Na przykład takie: *Elementy marksistowskiej metodologii humanistyki* (zbióroweczka pod red. JK)², *Zasady marksistowskiej filozofii nauki* Leszka Nowaka³ czy najbliższą naszemu studiowaniu *Metodologię historii* Jerzego Topolskiego⁴. Efektem Grzesiowych poduszeczeń było moje zainteresowanie metodologią nauk. Przeprowadzony wtedy ogląd ówczesnej sytuacji intelektualnej w tej branży na U M K w Toruniu doprowadził do wniosku: są tu ludzie posiadający wiedzę na ten temat większą od studenta II roku historii, ale nie na tyle większą, by dawało to przestrzeń dla jego rozwoju. Za mały dystans między uczniem i nauczycielami... Po zaliczeniu drugiego roku studiów przenieśliem się na historię w U A M - i e. Pracowałem nad magiste-

¹ J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, Warszawa: Oficyna Naukowa 2000.

² J. Kmita (red.), *Elementy marksistowskiej metodologii humanistyki*, Poznań: Wydawnictwo Poznańskie 1973.

³ Warszawa: P W N 1974.

⁴ Warszawa: P W N 1973, wyd. II, popr. i uzupełn.

rium u śp. Jerzego Topolskiego⁵ i biegałem na zajęcia pozostałej ekipy „Szkoły poznańskiej”.

Jako wolontariusz chodziłem przeto na niektóre zajęcia LN-i JK. Obaj głosili słowo - i to na tematy fundamentalne; potem zazwyczaj było miejsce na pytania i dyskusowanie. L. Nowak rysował schematy (czynniki główne, uboczne, idealizacje, byty kategorialne) na tablicy. Studenci pytali, a co, jeśli w tym modelu zastosujemy taki oto wariant rozgałęzienia kategorialnego? Wtedy LN niejednokrotnie reagował: A, to ciekawe! I zaczynał głośno z nami myśleć, co by wtedy było. Najpierw sądziłem, iż czyni tak dla zachęcenia młodzieży. Potem odniosłem wrażenie, że nie zawsze był to chwyt dydaktyczny ku zachęceniu młodzieży do samodzielnego myślenia, ale autentyczne zaskoczenie badacza możliwościami, które kryją w sobie jego pomysły. Po jakimś czasie narosło przekonanie, iż wszystko, co LN wymyślił, już zaraz publikował albo co najmniej opowiadał na wykładach. Jeśli czegoś jeszcze nie napisał, to tego nie wiedział. W przypadku zajęć z JK odczucie było zgoła inne: pisze i wykłada tylko drobną część tego, co ma przemyślane; trudno zaskoczyć go - zwłaszcza na gruncie Jego własnego pola pojęciowego - jakimś dociekliwym pytaniem. To dało mi do myślenia.

Bowiem czyż wielkość to nie obietnica? Obietnica pokazania odnalezionych już (no, prawie) skarbów, których nikt inny jeszcze nie posiada? Wielki bowiem, to nie po prostu większy (ode mnie). Kluczowy chyba jest wymiar dystansu: o ile większy? Jak daleko może zaprowadzić?

Zapewne istnieli w dziejach myśli ludzkiej autorzy od JK wybitniejsi (wedle miary zasygnalizowanej przed chwilą). Los jednak zdarzył, iż niżej podpisanemu, jako studentowi U A M w latach 1975-1977, nie dane było z tymi wielkościami się bliżej spotkać. Przeto na ładnych parę lat myśl moją ogniskowały teksty JK.

Ktoś powie, iż to wielkości miara studencka. Zgoda, ale miara ta jakoś ostała się. Do dziś odczucie kontaktu z umysłem wielkim mam wtedy, gdy (1) ktoś myśli o sprawach istotnych; (2) myśli nie tylko dobrze, ale i (3) bogaciej od słuchacza/czytelnika. Objasnijmy „istotność”, „dobroć” i „bogactwo” po kolei.

Sprawy istotne to takie, które znajdują się w polu aktualnej wrażliwości poznawczej odbiorcy; w szczególnym przypadku mogą to być po prostu kwestie społecznie modne. Myśleć dobrze, to w sposób dostatecznie uporządkowany, poprawny logicznie i zgodny z jakimiś (nie zawsze w pełni w polu świadomości znajdującymi się) kryteriami lub/i z temperamentem intelektualnym odbiorcy. Ktoś myśli bogaciej, gdy ma obmyślane takie wymiary (przesłanki, założenia, implikacje, boczne odgałęzienia) wchodzących

⁵ Zob. A. Zybertowicz, „Profesor Jerzy Topolski jako forma życia”, *Przegląd Bydgoski*, r. IX, 1998, 88-90.

w grę zagadnień, które przekraczają horyzont przemysłów, a jeszcze lepiej - nawet mglistych przeczuć i nadziei intelektualnych odbiorcy. Takie odczucia miewałem później przy lekturze pism Ernesta Gellnera i Hilaryego Putnama.

Już po spisaniu powyższego zerkam do tekstu Leszka Kołakowskiego „*Wielki filozof*” jako *kategoria historyczna*⁶. Czytam: „Wielki człowiek jest tedy jakoś odbiciem całości bytu, jest, jak Jaspers powiada, *unendlich deutbar*, niewyczerpany nigdy w odślanianiu coraz nowych swoich bogactw” (s. 201). Może zatem studencka intuicja miała w sobie coś więcej...

Późniejsze, już post-studenckie domniemanie wielkości JK szło takim torem. Niemałym wysiłkiem, przyswoiwszy sobie, jak ufałem, podstawy instrumentarium pojęciowego Autora (model determinacji funkcjonalno-genetycznej, dwa sposoby korespondowania ze sobą wiedzy naukowej, koncepcję świadomości społecznej, potocznego doświadczenia społecznego, wizję kultury jako rzeczywistości myślowej), dostrzegłem dwie rzeczy.

Po pierwsze, że kategorie te układają się w dość spójną całość, że analizy JK rozwijają się, że przemyslenia jakoś się kumulują. Że mam do czynienia z badaczem, który konsekwentnie szkicuje swoją koncepcję, którego świat myśli jawi się jako całościowy i dojrzały. Pamiętam z lektur tekstów JK z przełomu lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych (w tym zamieszczanych w *Nurcie* i *Sztuce*) wrażenie podążania za Autorem w jego wysiłku wydobywania - z jakiegoś mroku, z jakiejś nieokreśloności, wyciosowywania lub wydłubywania z jakichś oporności - pewnych mocnych (w sensie powiązań wzajemnych), ale i elastycznych (dzięki wysokiemu poziomowi abstrakcji, ale i w sensie „luzów na zawiasach”) powiązań, sieci kategorialnych. Co ważne, sieci te okazywały się przydatne w myśleniu o sprawach, motywach, którym sam Autor bezpośrednio uwagi żadnej nie poświęcał. Innymi słowy, Jerzy Kmity okazywał się przydatny także do czegoś innego - poza samym rozumieniem samego Kmity. Czytałem sobie świat „Kmityzmem” (nie Kmity jako człowiekiem obdarzonym pewną wrażliwością).

Po drugie, Kmityzm jako instrumentarium pojęciowe ujawnił pewną dodatkową zaletę. Okazał się nie tylko płodny i pojemny interpretacyjnie, ale także meta-interpretacyjnie. Instrumentarium to stało się dla mnie meta-futerałem do translacji, reinterpretacji rozmaitych innych koncepcji, lektur, kluczem (szczerze mówiąc, niekiedy wytrychem) do myślowego opanowywania innych koncepcji i zagospodarowania rozmaitych pól problemowych. Innymi słowy, Kmityzm wydawał się sprytniejszy, pojemniejszy, płodniej-

⁶ W: L. Kołakowski, *Pochwała niekonsekwencji. Pisma rozproszone z lat 1955-1968*, przedmowa, wybór, opracowanie Z. Mentzel, Warszawa: Niezależna Oficyna Wydawnicza 1989, 199-206.

szy analitycznie od innych systemów, bardziej od nich (jeśli można tak rzec) meta-poziomowy: z jego perspektywy można je było obrabiać, ale odwrotnie już nie bardzo się to udawało.

Co frapujące (nie wiem, czy do dziś zdążyłem już to należycie przemyśleć), o owej pojemności nie decydował sam tylko wysoce abstrakcyjny (przez pewien czas zdawało mi się - ponadhistoryczny) charakter pojęć Kmitystycznych. Na przykład, tworzone w połowie lat 70. koncepcje LN (którego myślą też przez pewien czas byłem zafascynowany) takiej mocy interpretacyjnej dla mnie nie miały. Pamiętam - wróć jeszcze do czasów studenckich - gdy rozmawiałem o tym z kolegami (zda się, iż niektórzy z nich są wśród autorów niniejszego tomu), mówiliśmy tak: LN rozwija swoje pomysły jakoś mechanicznie: po prostu dopisuje nowe założenia, pojęcia i twierdzenia. Natomiast JK robi to... no, jakoś inaczej, „głębiej”... Wtedy nie umieliśmy tego „głębiej” określić, dziś powiedziałbym: w zdyscyplinowany sposób wydobywa ukryte założenia i szkicuje dalekosiężne implikacje.

W ten sposób, po początkowym zafascynowaniu czynnikami głównymi i ubocznymi (pamiętam, że przez pewien czas koledzy-studenci z filozofii wołali na mnie: czynnik główny) idealizacyjne schematy się w mojej głowie odczarowały.

Płochliwe nuty, czyli o wymykaniu się Kmity

O tym, że JK jest myślicielem nieśmiałym, etykiety narcyza intelektualnego lękającym się, Autor *Wymykania się...* informuje nas już na początku najnowszej książki, zaznaczając, iż ważnych problemów, którym książkę poświęca, nie zamierza on „zarysować po prostu ze swego punktu widzenia”. Co to, to nie! Czytamy: „Pomny niebezpieczeństw, na jakie naraża tego rodzaju narcyzm, i licząc się z tym, że uprzejmi czytelnicy niniejszego tekstu znacznie bardziej ciekawi są zdania osób znajdujących się dzisiaj *en vogue*, a co ważniejsze, przyzwyczaili się już do słów wyrażających to zdanie, nawiązuje do poglądów postaci szczególnie zajmujących dzisiejszą publiczność intelektualną” (s. 9).

Czyż pierwsza część tego zdania nie jest oznaką jakiejś perwersji? Kmita zakłada, że ludzie (w tym piszący te słowa) po to kupią Jego, Kmity, rozprawę, by dowiedzieć się, co myślą Rorty, Davidson, Foucault *et consortes*. Ze czytelnicy przyzwyczajeni do modnych słów wprowadzonych w obieg przez rzeczonych myślicieli, będą chcieli przyswajać ich myśli właśnie przez lekturę Kmitowskich piętrowych zdań?

W swoich zdaniach (nie tekstach!) Kmita przekazuje czytelnikom dużo za dużo informacji. Ilustracją tezy z poprzedniego zdania, i zarazem jej uzasadnieniem, będzie zastosowanie stylistyki właściwej samemu JK:

Wydaje się, iż zazwyczaj (choć, ze względu na zawiałość, sprawa wymagałaby dalszych uściśleń) przedstawiany myśliciel w taki sposób konstruuje swoje wypowiedzi - ściślej rzecz ujmując, idzie o orzekające artykulacje werbalne - iż ilość zmiennych uwzględnianych w pojedynczych formułach zdaniowych (w istocie mamy do czynienia z poprawnymi gramatycznie, zdegenerowanymi odpowiednikami zdań języka polskiego) jest tak duża, iż doprowadza umysł czytelnika do przeciążenia powodującego zbliżanie się (zazwyczaj jednak asymptotyczne) do granicy szumu informacyjnego (w sensie Shannona).

Zdanie to ma 74 wyrazy. A następne, oryginalnie Kmitowskie? Zobaczmy:

Interpretator trzymający się tak pomyślanego nominalizmu lingwistycznego (kulturowego) zadowala się (a) pojęciem prawdy w sensie dyskwoacyjnym, (b) ufundowanym na nim pojęciem przekładu, (c) koncepcją *passing theories*, zaś w przypadku Rorty'ego ma jeszcze do dyspozycji (d) »słownik finalny«, która to kategoria odgrywa u tego filozofa nader istotną rolę - nie tyle z punktu widzenia potrzeb, jakie nasuwa dążenie do uzyskania charakterystyki procedury interpretacyjnej w perspektywie nominalizmu lingwistycznego (kulturowego), ile z uwagi na pragnienie zalecenia pewnej postawy, która skądinąd mogłaby motywować niewiarygodną, zdawałoby się uprzejmość, z jaką uczestnik dwuosobowej konwersacji gotów jest (wedle koncepcji *passing theories*) zrezygnować z własnego »interpretansu« wypowiedzi językowej partnera na rzecz »autointerpretansu« owego partnera, jakiego się domyśla (autointerpretansu zawsze jednak mieszczącego się w zakresie tego, co nasz uczestnik mógłby zaakceptować). (J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, s. 62; wyrazów 121).

Za to poniższe zdanie jest już naprawdę przystępnie skonstruowane:

Mówiąc najprościej: stosunki władzy grupowałyby zawsze określone odmiany kultur poszczególnych społeczeństw (społeczności), światopoglądy zaś (etyki), systemy komunikacji dyskursywnej (społeczno-regulacyjna koncepcja kultury przewiduje tu szersze pojęcie systemów symbolizowania), systemy kompetencji do działań instrumentalnych - związane byłyby o tyle ściślej z kulturami poszczególnych społeczeństw, że abstrakcyjne łączenie ich ze sobą tylko niekiedy dałoby się efektywnie przeprowadzić (J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, s. 134; 53 wyrazy).

Które z trzech przykładowych zdań łatwiej przyswoić?

Hipoteza: JK tworzy takie koszmarnie frazy właśnie z powodu płochliwości; chce się zabezpieczyć na wypadek... No właśnie, tu potrzebna jest na-

sza „psychoanaliza”: na wypadek czego? Nie myślcie, iż otwarcie nam sam powie! Stosunkowo niewinny przypadek takiego zdania mamy, gdy Autor pisze o kole hermeneutycznym. „Mianowicie: ażeby zrekonstruować poznawczo kulturę (daną dziedzinę kultury) danej zbiorowości, trzeba interpretować regulowane przez tę kulturę (jej dziedzinę) działania; ale ażeby je interpretować zadowalająco, trzeba operować wiedzą o odnośnej kulturze (odpowiedniej jej dziedzinie)” (J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, s. 65). Dalibóg! Niechaj ktoś racjonalnie wytłumaczy, jaka jest wartość poznawcza owych 3 fragmentów w nawiasach - łącznie 8 słów. Dają JK poczucie (uwagam, że złudne) bardziej precyzyjnej narracji? Czy to tylko stosowany od wielu, wielu lat nawyk? Ale dlaczego się utrwalił? Przecież te wtrącenia nic istotnego nie wnoszą; jedynie lekturę utrudniają! Oto przykład pozornego uściślenia: „Zakres mojej zgody na pomysły nominalizmu [...] w pewnej tylko mierze przekracza granice tego, co potrafiłbym zaakceptować [...]” u Kołakowskiego i Gellnera (J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, s. 192; wyróżn. A.Z.).

Za każdym razem (albo niemalże), kiedy JK prowadzi rozumowanie polegające na sprowadzeniu pola problemowego do układu uproszczonego (tj. chyba zawsze, bo inaczej nie przebiega nasze myślenie - tylko analitycznie⁷), dodaje liczne różne, często stanowiące zbędny balast, informacje, upewniające czytelnika o tym, iż Autor doskonale zdaje sobie sprawę z tego, jak bardzo problem jest złożony⁸ i jak gruntownie oraz subtelnie (tj. gromadząc niezliczone rozwarstwienia analityczne) można by go rozważyć.

Kmita raz po raz komunikuje: „przepraszam, że powiem coś prosto” (tj. JK uważa, że to będzie proste), ale niechaj nikt nie myśli, iż nie zdaje sobie sprawy z tego, z jak zawiłym problemem mamy do czynienia. Na przykład: problem „wymaga licznych rozwinięć, eksplikacji czy komentarzy”, ale Autor ograniczy się do trzech tylko uwag (J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, s. 65). Wszelako niechaj wszyscy pamiętają, że gdyby tylko chciał, to mógłby uchwycić problem w jego całej (ha!) złożoności.

Hipoteza: u podłoża tej asekuracji zdaje się jest - chyba nie tak trudny do zrozumienia (opartego na interpretacji, która nie musi być intersubiektywnie sprawdzalna) - lęk przed wejściem na agorę i mówieniem swoim głosem, przed pokazaniem maski pod nazwą **JaK-mi-tam-w-życiu!**

Kołakowski zauważył, iż geniusz filozoficzny bywa „czasem także przykładem niedostatecznej otwartości wobec opinii cudzych, czasem także

⁷ „(...) sedno danego zagadnienia najlepiej daje się wyłożyć, gdy rozważa się jego najprostszy przypadek” (J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, s. 48-9).

⁸ „Nie mogę oczywiście omówić w tym miejscu dokładniej wszystkich wchodzących tu w grę zbieżności i rozbieżności...” (J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, s. 47; wyróżn. - A.Z.).

przykładem zubożenia na sposób pisarskiego wyrazu własnej myśli: obchodzi go bardziej kompletne wyrażenie własnego świata w słowie niż technika przekazania innym tego wyrazu". I dodał, że myśl wielkich filozofów „nie jest kierowana przewidywaniem co do tego, jak wyraz jej innym dogodzi, ale tylko uporczywą wolą rozumienia" (L. Kołakowski, *„Wielki filozof” jako kategoria historyczna*, s. 204-205).

A jednak JK lęka się, iż ktoś (kto?!) mógłby pomyśleć, iż nie jest on dość douczony, rozgarnięty. Spotykamy w Jego tekście wypowiedzianą w wyimaginowanym dialogu z Foucaultem, odniesioną do siebie diagnozę „ograniczonego umysłu" (J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, s. 133; por. „tłuka neopozytywistycznego" - tamże, s. 198)⁹; spotykamy ślady obaw myśliciela, iż nie jest badaczem dość inteligentnym, potrafiącym z problemami zmagać się w całej ich złożoności. Owe autowyzwiska, trącające masochizmem, dają się „psychoanalitycznie" zinterpretować na dwa co najmniej sposoby: (1) jako autoironia - „zobaczcie mądrale (czytaj: głupki), potrafię być tak samo wyrafinowany/sprytny (niepotrzebne skreślić) jak i wy; jeśli czegoś nie przyjmuję do wiadomości, to dlatego, że taka jest moja decyzja, a nie z powodu niemożności ogarnięcia jakiejś kwestii; (2) jako asekuracyjne, samodzielne pobudzenie ośrodka przykrości w mózgu, by - uprzedzając oczekiwane ciosy niezyczliwych dyskutantów - hartować się, tą drogą osłabiając moc uderzenia we wrażliwe ego.

Z drugiej strony, Kmita w ostatnich latach pozwala, by w tekstach Jego, obok strony analitycznej, do głosu dochodził też (choć ciągle nieśmiało) *factor F* jego natury: figlarność, fikuśność, czy nawet - ośmielmy się wreszcie - frywolność. Pojawiają się w Jego tekstach (wymknąwszy się?) takie określenia, jak: wojowanie (J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, s. 7), filozoficzna wojaczka (tamże, s. 7), bijatyka (tamże, s. 73), „ludzie uważający siebie za głównych naszych pasterzy intelektualnych" (tamże, s. 10; niestety, żadnych nazwisk).

Kmity wymykanie się samemu sobie...

Dzięki wizytującemu Toruń Sławkowi Magali, tydzień przed Wigilią 2000 roku, po raz kolejny w życiu (pierwszy raz przydarzyło mi się to w 1976 roku, w ówczesnej Księgarni Naukowej w Poznaniu, przy ulicy o nieaktualnej już nazwie, gdy ukazały się *Szkice z teorii poznania naukowego*¹⁰)

⁹ A na marginesie: czy oferowana tu „psychoanaliza" jest interpretacją humanistyczną w sensie Kmity? A jak z kryteriami trafności takiej interpretacji?

¹⁰ Warszawa: PWN 1976.

wziąłem do ręki nową książkę JK ze świadomie ekscytującym zamysłem (w świetle doświadczeń tych wszystkich lat przeczuwam zamysłu tego perwersję - ujawni się to za chwilę) obcowania z Jego myślą.

Oczywiście, nie wszystko jest tak piękne, jak marzymy. W najnowszej książce JK znów ukrywa (mniemam, że nieco także i przed sobą) swoje myśli w gąszczu słów; nie, nie słów; w gąszczu swoich - chciałoby się rzec: notorycznie - Kmitystycznych zdań. Zdań, przez które przedzieranie się wymaga sporej dawki masochizmu (o czasie poświęconym na ich wielokrotne czytanie już nie mówię).

Zatem gotowość do praktyk masochistycznych najpierw (gdy JK pisze w *Wymykaniu się uniwersaliom* o czytelniku łaskawym, „cierpliwie śledzącym dotychczasowe rozważania” s. 44 - nic a nic nie przesadza¹¹). Potem: skupienie, analityczna obróbka/przeróbka tych zdań: osobno czytamy balast piętrowych wtrąceń, osobno całe zdania, ale wtrącenia już przeskakujemy. Określenie „balast” być może naprowadza nas na trop czegoś ważnego dla myśli JK (lub nawet dla jego Osoby). Może Kmita obciąża swoje myślopisanie (to celowe nawiązanie do uwagi krytyka literackiego Henryka Berezy o Edwardzie Stachurze: „życio-pisanie”) owym balastem, bo lęka się mocy swojej myśli, wyobraźni, przenikliwości, owej filozoficznej niecierpliwości, która przywołana jest w *Wymykaniu...* (rozdz. I). Czyni swoje zdania po teutońsku ciężkimi, przemierzając przestrzeń zawilosci analitycznymi ruchami dziecięcia miast zamaszystymi posunięciami skrzydeł jastrzębia. Ten ostatni, gdy widzi padlinę (np. filozoficzną), od razu się na niej poznaje i natychmiast odwraca swoje oczy. J. Kmita wszelako lęka wznieść się nieroztropnie wysoko, aż tam, skąd dorobek niektórych nurtów tradycji filozoficznej jawiłby się jako nieważny. Tak wysoko, by utracić możliwość dostrzegania szczegółów - analitycznie dziobanych przez dziecięcia. Ale rezygnując z dobrej rozdzielczości obrazu, zyskujemy szanse lotu tak wysokiego, że aż dającego szanse uchwycenia tego, co niespodziewane.

Zapytajmy teraz, z jakich to powodów Kmitowe pomysły są lepsze od innych? Jeśli pominiemy rozbudowany sztafaż narracyjny i postaramy się znaleźć (a nie jest to robota lekka, łatwa i przyjemna) te miejsca narracji, w których Autor daje swój głos, znajdziemy argumenty takie:

Spółeczno-regulacyjna koncepcja kultury (SRKK) jest od ujęć innych lepsza, ponieważ: „z jej punktu widzenia sporo spraw [...] wygląda jaśniej niż z perspektywy bardziej subtelnej refleksji...” (J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, s. 133). Ale czyż nie jest to czysto subiektywne, indywidualistyczno-psychologiczne kryterium ekstazy kognitywnej (KEK) oparte na banalnej tezie, iż jak coś jest prostsze, to łatwiej to ogarnąć? Czyż może być zresztą coś

¹¹ Aż dziw, iż pojęcie łaskawego czytelnika w tekście występujące kilka razy, nie znalazło się w indeksie pojęć.

jaśniejszego niż kolejne wygłoszenie (ewentualnie rekonfigurujące) formuł powtarzanych od lat?

W innym kontekście czytamy o „doniosłej w skutkach przygodzie intelektualnej współczesnej kultury zachodniej, przygodzie zwanej zwykle postmodernizmem” (J. Kmita, *Wymykanie się uniwersaliom*, s. 190). Czał się tu założenie, iż o wielkości decydować może (przesądza?) rodzaj skutków - a nie ma innych, jak społeczne. W tym, tuszę, także skutków czysto potencjalnych. Przeto wielgachność Kmita można by mierzyć przez doniosłość wpływu Jego na uczniów i wpływu uczniów Jego na resztę świata. Widać, że wielkość to pojęcie socjologiczne; ma to rozmaite niemile, także estetycznie, konsekwencje. Na przykład piosenkarka o ksywce „Madonna” oraz anonimowy geniusz (zdaniem Zygmunta Baumana), który wymyślił hasło: „Bądź sobą, wybierz pepsi!” stają w jednym szeregu z najpracowitszymi, najzacniejszymi, najporządniejszymi (np. w sensie elegancji analitycznej), najgłębszymi myślicielami. Skoro bowiem jakiegokolwiek uniwersalne kryteria powymykały się nam doszczętnie - to zamiast myślicielskiej (myślowej?) w o li mocy, pozostaje jedynie taka oto empirycz-nie weryfikowalna, glajchszaltująca, socjologiczna diagnoza na temat mocy wpływu. Czym się przeto różni transmitowany przez TV benefis czyniony piosenkarzowi od Księgi Pamiętliwej dla uczonego? Zasięgiem społecznym? Skalą zaangażowanych środków? Odpornością na presję czasu?

Możemy dać głos i podkreślić, iż JK, pracując na szerokiej przestrzeni nurtów myślowych - niech symbolizują je tradycja analityczno-neopozytywistyczna z jednego końca i hermeneutyczna od innego - choć zмага się z problemami, które kiepsko trawione są przez język analityczny, to uchwycił rzeczy ważnych sporo; a i całkiem wcześnie. Weźmy np. jego koncepcję progresywnego realizmu semantycznego (1982 r.¹²) czy konsekwentnie kulturoznawcze, może wolałbym powiedzieć: socjologiczne¹³, podejście do problemów epistemologicznych¹⁴ - zanim jeszcze w naszej części Europy zaczęto mówić o mocnym programie Szkoły Edynburskiej.

Nie możemy jednak powiedzieć, że J. Kmita jest wielkim myślicielem, bo obiektywnie ma rację. Nie dysponujemy - z powodu wymkniętych (czy raczej historycznie wymiękłych pod presją zmian społecznych) uniwersaliów

¹² „Scjentyzm i antyscjentyzm”, w: Zdzisław Cackowski (red.), *Poznanie, umysł, kultura*, Lublin: Wydawnictwo Lubelskie 1982, 140-86.

¹³ Zadłużenie wobec J. Kmity widać w mojej próbie zarysowania socjologicznej koncepcji wiedzy - A. Zybertowicz, *Przemoc i poznanie: studium z nie-klasycznej socjologii wiedzy*, Toruń: UMK 1995; tenże, „Konstruktywizm jako orientacja metodologiczna w badaniach społecznych”, *Ask*, 8/1999, 7-28.

¹⁴ Zob. „Kultura a »obiektywne« stosunki społeczno-ekonomiczne”, *Studia Filozoficzne*, nr 4, 1984, 93-103; „Epistemologia w oczach kulturoznawcy”, *Studia Filozoficzne*, nr 4, 1985, 17-36.

- żadnym powszechnie (choćby tylko w społeczności filozoficznej) przyjętym kryterium owej racjonalności. I nie widać perspektyw, by ktoś nas zdyscyplinował tak, byśmy grzecznie stosowne kryterium przyjęli. Nie możemy uznać, że jest JK wielki, gdyż coś odkrył - z kryteriami owego odkrycia podobnie bowiem jak z rzeczoną racją.

Nie możemy nawet powiedzieć, że jest wielki, gdyż znają i podziwiają (ew. lękają się) go miliony. Tylko ja, niżej podpisany (i ew. inni podpisani), mogę/ możemy powiedzieć, że jest wielki, gdyż wywarł istotny, owocny wpływ na moje/nasze myślenie. Nawet gdyby wraz z niżej podpisanym pod deklaracją taką podpisała się gromad(k)a innych posiadających uprawnienia do podpisywania się, to automatycznie jeszcze nie unikamy interpretacji narcystycznej (por. s. 15 i 201). Każde bowiem empiryczne kryterium wielkości (np.: pod kierunkiem JK napisano 930 prac magisterskich, obroniono 406 doktoratów, recenzował 317 prac habilitacyjnych i przyczynił się od uproszowania 96. polskich filozofów - w tym pewnej liczby niezdolnych do zrozumienia SRKK) będzie nie-universalne. Będzie albo pochodne wobec jakiegoś zwyczaju, albo stanowić będzie wyraz oglądy rytualnej, bezinteresownej grzeczności, uległości wobec pozycji instytucjonalnej, charyzmy osobistej czy zwykłej „potocznej” sympatii. Ta ostatnia, choć w pewien sposób może najbardziej - dzięki bezinteresowności - sympatyczna, ma jednak w sobie coś pomniejszającego, coś NIE-wielkiego. Najgłębsze, najtrafniejsze, wreszcie najprawdziwsze, zda się być jednak kryterium subiektywno-intelektualne; przy subiektywności jest prawdziwość, przy intelektualności powaga filozofowania. J. Kmita jest wielki, bo przedzierając się przez Jego - okrutnym stylem majstrowane - piarstwo, umysł czytelnika doznaje niekiedy przeżyć pirotechnicznych: przebłysków, olśnień, wybuchów entuzjazmu. „Co jednak o tym wszystkim powiedzieć może humanista akademicki, jeśli chce być intersubiektywnie rozumiały?” (s. 203; to ostatnie(!) zdanie *Wymykania się*).

Pokusiwszy się o odrobinę wysiłku interpretacyjnego (chodzi przecież o tzw. zdarzenia mentalne - s. 158) rzekłbym, iż nie zawsze idzie o czystą, niepowtarzalną (zob. uwagi ze strasznej, zamykającej książkę strony 203) subiektywność. Może w grę wchodzić mechanizm - kulturowo (współ)regulowany - polegający na rezonansie (to metafora Krzysztofa Maurina¹⁵) między pewnymi sieciami pojęć, sposobów metaforyzowania właśnie. Gdy rezonans dotyczy tych obszarów w umyśle, gdzie ulokowane są instynkty raczej wyższe niż niższe (kolejna metafora), gdy te obszary wzbogaca, rozwija (czy jakiej tam metafory nie użyjemy) - wtedy, wtedy właśnie powiemy o wielkości. Nie zaś, gdy oglądając film epatujący przemocą lub przestraszeniem, aktywizujemy w sobie instynkty spod spodu.

¹⁵ K. Maurin, „Logos (język) i jego rola kosmotwórcza”, w: J. A. Janik, P. Lenartowicz (red.), *Nauka - religia - dzieje (IV)*, Kraków, 120-82.

Tak określona wielkość - nawet gdyby komuś wydało się to ujęcie intuicyjnie trafne - oparta jest na dalekim od uniwersalnego (koniecznego - por. s. 200), arbitralnym rozróżnieniu rangi instynktów. Ale to rozróżnienie nie wzięło się znikąd. Pokrewne zda się zakładać hierarchia bytów Akwinaty (od zwierzęcia, przez człowieka, następnie anioła ku...). Jeśli niepokoi kogoś, że nasze rozróżnienie niższości/wyższości w tle ma pewną wizję zbawienia - trudno. Kultury nawet głęboko zlaicyzowanych zbiorowości mają religijny trzon.

Doprowadziwszy myśliciela Jerzego K. w pobliże boskości, w klimaty, których się chyba lęka (to efekt i koszt psychoanalizy), jednak jeszcze nie kończę!

Pytanie: czy ku boskości podąża On świadomie? Chyba tak; i chyba nie. Podejrzewam: z jednej strony Autor chciałby wykonywać dobrą (czy nawet wyśmienitą) filozoficzną robotę, zgodną z najlepszymi standardami (np. Carnapowskimi) i chciałby być za tę robotę przez kolegów z branży doceniony; ale zapewne jest i tak, iż wystarczy Mu - w ostateczności? - szacunek do samego siebie (*do your best and then take it easy*). Jest tak, chociaż JK zdaje sobie sprawę z nie-universalności owych standardów, z ich przygodnego, kulturowego charakteru. To jednak - kolejne podejrzenie - sprawy nie wyczerpuje. Autor może wie (przeczuwa?), iż w intersubiektywnie i analitycznie kontrolowanym trybie nie byłby w stanie tego wykazać, ale podejrzewa (to moja imputacja), że robota Jego w jakichś punktach otchłani kultury, „kultury jak okiem sięgnąć” (s. 198) się jednak wymyka. Że wymyka się przygodności i muska, choćby tylko najdelikatniej, jakąś uniwersalność; gdyby tak nie podejrzewał, to musiałbym Mu przypisać większą porcję heroicznej (amorficznej) rozpaczy, niż podejrzewam. Jakie ślady w Jego tekstach takie podejrzenie uprawdopodobniają? Mówi oto o znalezieniu się „możliwie blisko przy źródłowym przeżyciu” (s. 203; ostatnia strona tekstu!).

Skoro tak... to, czy nie najwyższa pora na rozstanie się z iluzją uprawiania refleksji naukowej; czy nie pora na śmiałe sięgnięcie po metafory; po ukazanie swych sympatii aksjologicznych - znacznie, znacznie śmielsze od tego ujawnionego w *Etyce nauki*¹⁶. Nie ja jeden zauważyłem, iż w tekstach Profesora wątki najważniejsze, najmocniejsze, najbardziej frapujące pytania, pojawiają się na końcu tekstów, niejako mimochodem, w ramach „prywatnych” wypowiedzi¹⁷ sygnalizowane, a nie frontalnie postawione.

Aliści może JK najchętniej, jak starodawny rasowy Filozof, napisałby Księgę Wielką o tym, co wymyka się kulturze... Może urodził się w czasie złym... Za wcześnie? A może teraz właśnie przyszedł Jego czas; nie bez po-

¹⁶ W: M. Drozdowski (red.), *Między historią a teorią*, Warszawa - Poznań: PWN 1988, 356-66.

¹⁷ Zob. J. Kmita, *Jak słowa łączą się ze światem*, Poznań: Wydawnictwo Naukowe IF U A M 1995, 298.

wodu przecie w *Wymykaniu się...* przywołuje Autor motyw wyboru zadania intelektualnego, z którym wiążą się korzystne „proporcje trudu i użyteczności” (s. 149, por. też s. 152). Może, wbrew wszystkiemu, wbrew akceptowanej przez JK idei, iż

„żadna opcja epistemologiczna: żadne opowiedzenie się za takim bądź innym wachlarzem wartości poznawczych i za takimi to a takimi sposobami ich realizacji, nie jest w stanie ze względów »logicznych« odwołać się do gwarancji zapewniających w stopniu zadowalającym powodzenie postępowaniu faworyzowanemu przez tę opcję...” (s. 192),

już niebawem, już od przyszłego tygodnia nastąpi filozofowanie bez balastu?

HIC RODUS, HIC SALTA! - Profesorze

Radkowi Sojakowi i Andrzejowi Szahajowi bardzo dziękuję za uwagi i pomysły.